

Trwało to długo.
Wreszcie jestem
w jej pięknym
domu na skarpie
w podwarszawskim
Konstancynie.

Drzwi otwiera sama

**ZDZISŁAWA
SOŚNICKA.**

Wokalistka. Gwiazda.
Osobowość. Wyszła
z cienia. Nie bez
powodu.

ROZMAWIA MACIEJ GAJEWSKI
FOTOGRAFOWAŁA
ZUZA KRAJEWSKA

SERCE PALI SIĘ raz



Urodziła się w 1945 r.
w Kaliszu. Jest dyplomowaną
dyrygentką, kompozytorką,
piosenkarką o skali głosu
2,5 oktawy. Zadebiutowała
w 1963 r. Ostatnią płytę
nagrała 16 lat temu.

Bo płyty i ja...



Dom, który mam (1971)
„Wielki debiut”

Taki dzień się zdarza raz (1974)
„Pokażę wam, że umiem śpiewać!
Po pierwszej płycie napisali,
że się skończyłam”



Moja muzyka (1976)
„Skok na głęboką wodę.
Zmieniłam styl śpiewania”



Odcienie samotności (1979)
„Bajka. Zaczęło się
od arii z »Evity«, a skończyło
na »Julia i ja«”



Realia (1984)
„Stan wojenny:
Trzy lata przerwy
w życiu artystycznym.
Nie potrafiłam
śpiewać”



Aleja gwiazd (1987)
„Wielkie powstanie.
Sukces”



Serce (1989)
„Piękna
płyta”



Musicale (1989)
„Marzenie”



Magia serc (1998)
„Wszystko dla fanów”

Jej piosenki znają wszyscy. Nie przesadzam. „Aleja gwiazd” jest jednym z ulubionych utworów prezentowanych przez młodych wykonawców w programach typu talent show. Szkoda, że padło tylko na ten utwór, bo Sośnicka ma w repertuarze więcej dobrych piosenek.

Na wywiad umawiamy się u niej w domu. Dużo przestrzeni, za wielkimi oknami widać zadbane ogród. Piosenkarka zaprasza do gabinetu, gdzie na sofie leżą pudełka z wydaną właśnie „Antologią Zdzisławy Sośnickiej”. Na początku rozmowy mówi cicho i niewiele. Pod koniec spotkania śmieje się, żartuje i prosi, żeby tylko tego czy tamtego nie pisać.

Dlaczego była Pani tak uparta?

Nie rozumiem.

Prawie siedem lat namawiałem Panią na wywiad.

Nie miałam takiego powodu jak nowa płyta czy koncert, by spotykać się z dziennikarzami. Teraz to co innego, ukazała się moja antologia. A tak mówić, byle mówić, to nie ma sensu. Nie chcę być celebrytką. Ludzie chcą wiedzieć, jak żyje ktoś, kogo przez lata podziwiali.

Ostatni raz wystąpiłam w 2007 roku. Nie powiedziałam jednak, że już nigdy nie zaśpiewam, nie nagram płyty. A wówczas tak pisano.

Potrzebowała Pani spokoju?

Wyciszenia i czegoś więcej. Chciałam znowu zatęsknić za śpiewaniem. Proszę sobie wyobrazić, że przez prawie trzydzieści lat wstałam rano i to, co mnie czekało, to kolejna podróż, próba, koncert i znowu podróż. Tak nie można żyć. W pewnym momencie organizm mówi „nie” tak głośno, że głowa musi go posłuchać.

Nie po raz pierwszy doszła Pani do takiego wniosku. Przed albumem „Magia serc” z 1998 roku też nie nagrywała Pani przez kilka lat.

To też była świadoma decyzja. Pracy podporządkowałam wszystko. Oddawałam się jej w stu procentach, bo uważam, że tylko wtedy odnosi się sukces. Inaczej się przegrywa. Było to kosztem rodziny, przyjaciół. Chciałam więc posmakować czegoś innego.

Udało się?

Oczywiście. Nagle okazało się, że mogę rano spokojnie wstać, napić się zielonej herbaty, zobaczyć w internecie, co dzieje się na świecie. A potem pojechać na wale i popatrzeć na Wisłę. Dziś tam byłam, przedwczoraj też. Mogę wyjść do ogrodu, poczytać książkę, włączyć płytę. Obejrzałam wszystkie filmy, których nie miałam okazji zobaczyć, a jestem wielką kinomanką.

Spotkałam Panią też w teatrze Krystyny Jandy.

Lubię Polonię i koncerty, które tam się odbywają. Byłam na występie Michała Bajora...

A słuchając Michała, nie miała Pani ochoty stanąć po drugiej stronie rampy? Żadnych decyzji nie podejmuję pochopnie. Do przerw, jakie robiłam sobie w życiu zawodowym, zawsze przygotowywałam się psychicznie. Również pracowałam, bo angażowałam się w działalność naszej rodzinnej firmy. Jestem inwestorem...

Stawała się Pani kobietą interesu?

Inwestowanie nie jest proste. Zaczęłam w 1998 roku. Na początku mało ryzykowałam. Mąż śmiał się ze mnie, że bawię się jak w przedszkolu. A ja zaczęłam uczyć się coraz więcej. Obracałam niewielkimi sumami, szłam małymi krokami. Potem, kiedy trzeba było naprawdę się wykazać i zainwestować sporo pieniędzy, to robiłam

to z drżeniem serca. Ale trafiałam na dobre okresy i pięknie wychodziłam nawet z kryzysowych sytuacji.

Sukces?

Niewielki, ale zawsze. Małe porażki też mi się zdarzały. W 2008 roku w ostatnim momencie zrezygnowałam z inwestycji, które nie skończyłyby się dobrze.

Dla odprężenia siadała Pani przy pianinie i śpiewała?

Rzadko. Częściej komponowałam. Tak w ramach prezentu.

Dziś Pani mąż ma urodziny. Napisała Pani coś dla niego?

Wyjątkowo nie. Jerzy jest tak zasłużony w „Antologii...”, że tym razem było to niepotrzebne. Kupiłam mu w prezencie urządzenie, dzięki któremu może sterować nagraniami z telefonu niezależnie od tego, gdzie na terenie domu się znajduje.

Skoro Pani głos po latach robi wrażenie na mężu, to nie ma co się dziwić, że dziennikarze piszą dziś o Pani: „kultowa postać popkultury”...

Trochę przesadzona opinia.

Jest Pani lubiana w środowiskach gejowskich. Wiedziała Pani o tym?

Tak, i bardzo to sobie cenię.

Przed warszawską Cafe Kulturalna widziałem przebranych za Panią mężczyzn, którzy śpiewali z playbacku „Pożegnanie z bajką”.



Pracy podporządkowałam wszystko. Oddawałam się jej w stu procentach. Było to kosztem rodziny, przyjaciół.

Tę piosenkę pięknie zremasterowałam podczas przygotowywania „Antologii...”. Bardzo cenię sobie sympatię gejów. To ludzie niezwykle wrażliwi.

Lubi Pani swój głos?

Powinam go lubić, bo spełnił moje marzenia. Głos sprawił mi wielką niespodziankę. Długo nie wiedziałam, że mam takie możliwości. Kształciłam się na pianistkę, a śpiewałam tylko na zajęciach z emisji głosu.

Kto pierwszy powiedział: „Pani ma głos”?

Podczas akademii w żeńskim Liceum im. Anny Jagiellonki w Kaliszu (dziś imienia Mikołaja Kopernika – red.) byłam akompaniaturką. Jedna z koleżanek zachorowała i tak okropnie śpiewała, że w końcu westchnęłam: „Nie mogę tego słuchać”. Profesorka, która nas nadzorowała, usłyszała to i powiedziała: „Jak jesteś taka mądra, to sama zaśpiewaj”. Trochę się zawstydziałam i zdenerwowałam. „Proszę bardzo”, odpowiedziałam. Kiedy skończyłam, stwierdziła, że od tej pory będę występowała jako wokalistka. Potem ktoś z liceum męskiego zaprosił mnie do zespołu bigbitowego.

I się zaczęło.

Kolejne zespoły, występy, zaproszenia na koncerty.

Miała Pani wykształcenie muzyczne – to pomagało.

Naturalnie. Muzyką zainteresowała mnie mama. Zaprowadziła na egzamin do szkoły muzycznej. Przez jakiś czas ćwiczyłam pod jej okiem.

Gdy zaczęła Pani odnosić pierwsze sukcesy wokalne, była z Pani dumna?

Mama marzyła o tym, że zostanę pianistką. Kiedy w dziewiątej klasie w szkole muzycznej dostałam stypendium chopinowskie, wróżyła mi karierę muzyka. „Podśpiewywać sobie możesz na boku”, mawiała. Jakiejś aprobaty dla moich prób wokalnych, czy nawet ich oceny, nie usłyszałam.

Jaki był Pani dom w Kaliszu?

Ukształtował mnie. Nauczył szacunku do pracy, punktualności i dyscypliny. Miałam dwie szkoły i musiałam żyć tak, żeby wszędzie zdążyć i być przygotowaną. Do ojca przychodziło wiele osób po radę i przedyskutować swoje problemy. Zamykali się wtedy w pokoju. Pytałam, o co chodzi. „To są trudne sprawy”, słyszałam. Nie wiem, dlaczego przychodzili do niego. Nigdy się nie dowiedziałam.

Kim była dla Pani mama?

Drogowskazem. Dziś mogę powiedzieć, że zawdzięczam jej wszystko. Stanowi dla mnie przykład niespotykane zaradnej kobiety. Nie byliśmy

zamożni, a jednak nigdy nie usłyszałam, że na coś brakuje pieniędzy. Z drugiej strony, nie mieliśmy wygórowanych potrzeb, bo czasy były ciężkie.

Gdzie mieszkaliście?

W starej kamienicy. W środku było patio, ludzie sadzili tam trawę, kwiaty. Było kolorowo, mimo że za oknem trwał PRL. A ja grałam na fortepianie.

Śsiedzi nie mieli dosyć?

Nie skarżyli się, chyba to lubili.

Była Pani sumienną uczennicą czy raczej się buntowała?

Nie byłam krnąbrna.

Ma Pani dziewiętnaście lat i jedzie do Krakowa na festiwal studencki...

Zanim to się stało, śpiewałam z zespołami bigbitowymi. Na przykład z Alabamą. Kiedyś kupiłam sobie bilet na koncert Czerwono-Czarnych. Przyszłam, usiadłam w czwartym rzędzie. Nagle pojawia się moich dwóch kolegów i proszą, żebym poszła z nimi za kulisy. Okazało się, że na tym koncercie odbywa się konkurs, w którym nagrodą jest udział w festiwalu młodych talentów w Szczecinie. Wystąpiliśmy, oni się nie zakwalifikowali, ale ja tak.

Ma Pani już wtedy jakiś pomysł na życie?

Myślę tylko o skończeniu studiów. Zdaję na teorię muzyki w Poznaniu. Brakuje mi punktów. Profesor Stefan Stuligrosz, który był obecny podczas egzaminów, proponuje, żebym została na uczelni na wydziale dyrygentury choralnej.

Kiedy decyduje się Pani śpiewać zawodowo?

Podczas studiów występowałam w teatrze studenckim Nurt. Na pierwszym roku pojechałam na studencki festiwal piosenki do Krakowa i zdobyłam pierwszą nagrodę. To mnie trochę oszłomiło, bo zaczęłam dostawać propozycje udziału w koncertach. Nie traktowałam tego poważnie, ale jeździłam. Po studiach zaczęłam zastanawiać się co dalej. Nie chciałam całkowicie rezygnować ze śpiewania. Dałam sobie dwa lata. Śpiewałam, gdzie się dało, poznawałam ludzi, ktoś napisał mi piosenkę. Zaczęli zajmować się mną „profesjonaliści”, którzy nie znali się na tekstach, aranżacjach, muzyce – oni tylko organizowali jak największą liczbę koncertów.

Kiedy nastąpił przełom?

W Sopocie. Brałam udział w zbiorowym koncercie na molo. Towarzyszył temu pokaz mody Telimeny. Na widowni usiadł między innymi reżyser z TVP Janusz Rzeszewski. Przyszedł mnie posłuchać i zaproponować udział w koncercie z innymi gwiazdami. Jeździłam po demoludach przez dwa miesiące. Potem Janusz Rzeszewski zaprosił mnie do programu rozrywkowego w Telewizji Polskiej, w którym zobaczył mnie dyrektor Polskich Nagrań...

Czego żałuje? Może tylko przyjaźni, które nie przetrwały. Szkoda, że ludzie zbyt szybko o sobie zapominają.

...i w 1971 roku w Opolu śpiewa Pani „Dom, który mam”, publiczność szaleje, w Sopocie dostaje Pani kilka nagród i ma dwunastominutową owację. Widziałem na YouTube!

(śmiech) Ten festiwal był wtedy marzeniem każdego artysty! Ludzie stoją, a ja bisuję, nawet nie wiem ile razy.

Narodziła się gwiazda.

Mieszkałam w Warszawie w bloku na Stegnach. Dzięki pomocy znajomych, którzy zameldowali mnie u siebie. Wtedy nie można było inaczej.

Stawki dla artystów ustalał minister.

Musiałam w związku z tym zdawać egzamin. Bo artysta z klasą A zarabiał gorzej niż ten z S.

Nie było to upokarzające?

Co mogłam poradzić – wszyscy tak żyliśmy. Honoraria artystów kreowała władza, a za nagranie płyty dostawaliśmy jednorazowe, niskie wynagrodzenie, nie było mowy o tantiemach. Dopiero kiedy zaczęłam wyjeżdżać za granicę, lepiej zarabiałam. Zobaczyłam też, jak pracują tam artyści, i zrobiło mi się przykro. Zazdrościłam im wielu rzeczy, ale przede wszystkim sprzętu, na którym śpiewali i nagrywali.

Śpiewała Pani na wielu festiwalach: na Midem w Cannes, w Caracas, Tokio.

Nie myślała Pani, żeby to wykorzystać?

Jadąc na Midem, miałam pięć dolarów w kieszeni. Widziałam, że tam jest inaczej, lepiej, ale nie brałam pod uwagę tego, żeby zamieszkać za granicą. Lubię być tu, w Polsce. Pamiętam, gdy wiosną

1981 roku byłam w Stanach, znajomi namawiali mnie i męża, żebyśmy zostali. A my kupiliśmy ryż, oliwę, polską szynkę w puszkach i wróciliśmy do kraju.

Nigdy Pani tego nie żałowała?

Nie. Taką mam naturę. Kiedyś przez kilka miesięcy występowałam we Friedrichstadt-Palast w Berlinie. Miałam tam mieszkanie, rodzina do mnie dojeżdżała, a jednak coś gnało mnie na Stegny w Warszawie. Wracałam, patrzyłam przez okno i pytałam sama siebie: „Do czego ja tak tęsknię?”. Nie umiałam tego wyjaśnić. Przecież te kartki, puste sklepy... Gdyby pan zapytał mnie dziś, jak przeżyliśmy te czasy, to nie umiałabym odpowiedzieć.

A artyści w telewizji byli tacy kolorowi, piękne kreacje, wielki świat...

Sami to robiliśmy! Każda z nas miała krawcową. Projektowałyśmy te suknie czy kostiumy na bazie tego, co zobaczyłyśmy w pismach zagranicznych, zachodniej telewizji. Jeśli jechałam do jakiegokolwiek miasta na świecie, to ostatni dzień pobytu był zarezerwowany na wizytę w sklepie z materiałami. Kiedy sprowadzałam się do domu, w którym dziś rozmawiamy, zorientowałam się, ile tkanin mam pochowanych w szafie.

Jak było na przykład za kulisami festiwalu w Opolu?

Kiedy wychodziliśmy na scenę, ludzie nas witali z entuzjazmem. Wtedy zapominało się o codziennej szarżyźnie. Człowiek leciał w górę: „Mogę wszystko!”. Potem artysta schodził ze sceny i spadał w dół.

Koniec iluzji?

Na festiwalu w Opolu wyglądało to tak: gotowość o 20.00, wyjście na scenę o czterech godzin później. Wcześniej trzeba było odstać swoje w kolejce do dwóch makijażystek, które tylko nas poprawiały, bo malowałyśmy się same. Jedna wielka sala jako garderoba, gdzie przebierali się i kobiety, i mężczyźni. Potem przywieźliśmy jakieś koce i prześcieradła, żeby zrobić przepierzenia. Do tego dwie toalety, więc proszę sobie wyobrazić, w jakim były stanie.

Współcześni artyści narzekają czasem, że nikt nie zapewnia im osobistej ochrony.

I mają rację! Trzeba równać w górę. Z takiego upokorzenia, w jakim byliśmy, mogło nic nie wyrosnąć. Trzeba było mieć dużo siły, żeby wyjść na scenę i coś pokazać. I chcieć.

A życie towarzyskie tętniło?

W Opolu była taka restauracja Pająk, gdzie pili się wódkę. Kiedy przychodziliśmy po koncertach, do jedzenia było tylko masło i chleb. Generalnie wszyscy się upijali, bo byli zmęczeni. Podawali jeszcze kawę z fusami w szklankach. Nie byłam zachwycona tym, jak ta zabawa wygląda, byłam natomiast szczęśliwa, że mogę znaleźć się w tym towarzystwie. Jonasz Kofta, Wojciech Młynarski, Jan Pietrzak i wielu innych.

Lubiła się Pani bawić?

Nie, bo następnego dnia nic bym nie zaśpiewała. Jeśli balowałam, to tylko wtedy, gdy nie miałam koncertu.

Pani? Z wizerunkiem raczej powściągliwej?

Bo taka byłam! (śmiech)

Piosenki, które znalazły się w „Antologii...”, pisali mężczyźni. Oni byli ważniejsi w Pani życiu artystycznym?

Bez wątpienia.

I kompozytorka Barbara Bajer – Pani alter ego.

W tym czasie śpiewałam tylko posągowe piosenki. Nikt nie chciał napisać dla mnie niczego łżejszego. Sama musiałam skomponować „Taki dzień się zdarza raz” i „Kochać znaczy żyć”. Pod pseudonimem. Nie ma Pani w repertuarze popularnej wśród wykonawców w latach 70. Agnieszki Osieckiej.

Dla zasady. Bardzo cenię sobie twórczość Agnieszki Osieckiej, ale ona pisała dla Maryli Rodowicz, potem Urszuli Sipińskiej. Gdzie w tym ja? Konkurencja między Marylą a Urszulą i tak urosła do trochę wyolbrzymionej legendy.

Wspomina Pani dwie najważniejsze blondynki polskiej sceny muzycznej tamtych lat. Pani w którymś momencie zmieniła kolor włosów.

To nie moja zasługa.

Musiała się Pani na to zgodzić.

Nie było mojej zgody.

To już nie rozumiem.

Poszłam do mojego fryzjera i mówię: „Poproszę o kasztanową farbę”. Na to słyszę: „Pani Zdzisławo, jest pani zbyt wagnerowska, za ciężko, zmienię trochę kolor”. Wyszło tak, że opuszczałam zakład złoto-pomarańczowa, a następnego dnia miałam koncert w amfiteatrze w Opolu. Wychodzę na scenę w ciemności. Doszłam do mikrofonu, zapaliło się światło, a ja usłyszałam jęk widzów. Tak mnie to rozśmieszyło, że musiałam zejść ze sceny.

„Kochać znaczy żyć” to tytuł piosenki i Pani ulubione motto. Zakochiwała się Pani tylko szczęśliwie?

„Serce pali się raz”. Niestety. Ale jestem zadowolona, szczęśliwa, spełniona pod tym względem.

Liczy Pani, ile lat jest z mężem?

Nie, bo prawdopodobnie dużo. Potrafię odciąć się od paru wydarzeń w swoim życiu i tak samo robię z mijającymi latami. Mój mąż jako menedżer poświęcił mi pół życia. Bałam się, że kiedyś mi to wypo-

mni. Myślałam o tym od momentu, kiedy wrócił z biura projektowego, gdzie pracował jako inżynier, i powiedział, że zwolnił się z pracy i zostaje moim menedżerem. „Ale ty nic nie umiesz”, ja na to spokojnie. „To się nauczę”, odpowiedział. Przestraszyłam się, bo uznałam, że to niezdrowa sytuacja. Zrobiłam więc podział obowiązków i ustaliłam, że nie rozmawiamy w domu o pracy, czego oczywiście nie udało się uniknąć.

I?

Mąż okazał się świetnym menedżerem. Znakomicie organizował trasę, inwestował nasze pieniądze w nagrywanie płyt. Nauczył się wszystkiego.

Umiał na Panią tupnąć?

Oczywiście, i zostało mu to do dziś (śmiejch). Wczoraj zrobili mi zdjęcie i wrzucili na Facebooka. Nie podobało mi się i już chciałam domagać się usunięcia fotografii. Ale Jerzy popatrzył na mnie i powiedział: „Oszalałaś. Nie można z siebie robić ołtarzyka”. Z jednej strony, ma w sobie wrażliwą duszę, z drugiej, jest bardzo, czasami za bardzo, punktualny. Miałam z tym ogromny problem, bo czasem nie mogłam złapać oddechu.

Kiedy skończyliście współpracę?

Pod koniec lat 80. Nagrywałam „Aleję gwiazd” w Krakowie, a mąż tu, pod Warszawą, budował firmę. Odnosił sukces.

Oddała się Pani zawodowi, sypiała niewiele – tak jak teraz, kiedy pracowała nad „Antologią...”. Co Pani straciła?

Nic. Utrzymałam rodzinę. Mam dom w miejscu, w którym chciałam. Przyszłość mam zabezpieczoną. Na dobre mi to wyszło.

Jest coś, czego Pani żałuje?

Przyjaźni, które nie przetrwały. Proszę spojrzeć na nazwiska na okładkach albumów z „Antologii...”. Szkoda, że ludzie szybko o sobie zapominają. Co jeszcze? Może żałuję, że nagrałam zbyt mało płyt...

Da się Pani namówić na nagranie nowych piosenek?

Tęgo sama nie jestem pewna. Nie wiem, czy potrafię zaśpiewać tak, jak bym chciała. Jestem perfekcjonistką do bólu. I mam tak, że piosenki muszę nagrywać za pierwszym podejściem. ■